Rok III.

Nr. 28. Nr. 28.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 z/r. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 12 lipca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Projektomanja.

Zastanowiwszy się zimno i uważnie nad rozmaitemi kierunkami społecznego naszego życia z ostatnich lat kilku, nad treścią i charakterem rozmów i sporów podczas zebrań publicznych i prywatnych, przerzucając nareszcie ostatnie roczniki pism czasowych, wychodzących we wszystkich dzielnicach Polski — każden z nas nabrać musi przekonania, że jeżeli na polu naukowo-literackiém zapanowała — za wyjątkiem t. z. Kongresówki — wyrazista stagnacja, to w kierunku prac społecznych i materjalnych zrobiliśmy znaczny postęp i idziemy wciąż a żywo naprzód.

Nie chcemy i nie mamy nawet prawa przeceniać to, co się stało zwłaszcza, że do żniwa i do zbierania owoców bardzo jeszcze daleko. Uwzględniając jednak krótki, jak dotąd, przeciąg czasu, jaki nas dzieli od odrętwienia, i warunki, pod któremi prace nasze rozwijać możemy, trudno nie uznać, że coraz to więcéj sił rzucamy w ruch, który się istotnie rozpoczął.

Jedną z przyczyn i dźwigni tego ruchu, jednym z powodów iż ciężka, zgnębiona atmosfera społecznego naszego życia brzmi dzisiaj gwarem przemawiających w sprawie publicznéj głosów, jest bezwątpienia to, co ironicznie zwykliśmy nazywać projektomanją.

Gniewamy się na tak zwanych projektowiczów, iż nam nie dają miłego spokoju, stawiając coraz to nowe wnioski, z których mało bardzo przyjętych a mniéj jeszcze wykonanych bywa, że demoralizują opinję publiczną robiąc często fiasco, że zniechęcają, bałamucą i drażnią ludzi coraz to nowemi projektami, rozstrzeliwającemi siły umysłowe i materjalne. Te i tym podobne często sprawiedliwe a częściéj jeszcze powierzchowne zarzuty nie mogą i nie powinny powstrzymać ruchu, który targnął i wlał życie w najcięższe nawet i najbezwładniejsze masy narodu, powołał je do pracy twórczéj i oporu chroniącego nas od napływu szkodliwych pierwiastków i obcego naporu.

Prawdą jest, iż na dziesięć projektów przepada ośm a dajmy na to dziewięć, czyż warto zatém — mówią — dla tak drobnego nabytku robić tak wielką wrzawę? Czyż mnogość upadających projektów nie świadczy, iż projektomanja jest po prostu wybrykiem fantazji lub znamieniem umysłowego nieładu? Bynajmniéj. Niezależnie od ilości wykonywanych i wykonalnych projektów, niezależnie od powodzenia w życiu praktycznem, projektomanja przynosi ogółowi dodatni pożytek, każdy bowiem, choćby dziesiąty, wykonany zamiar wnosi do skarbca narodowego nowy a pożądany kapitał, nową zdobycz, zmniejszającą nasze ubóstwo.

W kraju, gdzie cyfra długów wyraża spo-

łeczne bogactwo, gdzie pojęcie organicznéj pracy nie wyszło jeszcze z chaosu, gdzie dary przyrody niedołężnie są wyzyskiwane a materjalna produkcja wydana lekkomyślnie na łup przybłędów, gdzie moralne i umysłowe sprawy zaniedbane, warunki rozwoju ciasne, prawa deptane a obowiązki wielkie — w kraju takim jedno choćby silne stowarzyszenie, jedna użyteczna instytucja a każden trafny, możebny do wykonania projekt, wiele bardzo znaczy.

Projekt taki nie powstanie z nicestwa, pośród obojętności i ogłupienia, z którego wyrywa społeczeństwo ta właśnie ośmieszana przez nierozważnych projektomanja, zmuszająca ogół do rozpraw nad własném dobrem i wspólnemi sprawami, budząca coraz to nowe natchnienia i nowe propozycje, klasyfikująca pomysły, nastrajająca różnice interesów jednostek do społecznéj harmonji.

Powiedzieliśmy, iż projektomanja wyradza potrzebę rozpraw, publicznych dyskusji i pociąga do nich coraz to nowe jednostki. Owoż tedy pośród takich rozpraw kształci się opinja publiczna, wyrabia zapatrywanie i sąd o ludziach i rzeczach, który — miejmy odwagę przyznać sobie — bywał i dotąd często bywa grymaśny, na uprzedzeniach i pierwszém wrażeniu oparty, nie zaś na spokojnym rozmyśle, loice i faktach.

Projektomanja nietylko budzi uwagę publiczną i podsuwa jéj szereg myśli, ale wiąże obywateli ogniwem duchowego pokrewieństwa, skierowuje ich czujność ku sprawom krajowym.

Z przed oczu naszéj wyobraźni nikną odległe a więc wielkie postacie potentatów i ministrów zagranicznych, domniemanych przyjaciół i oswobodzicieli Polski. Pochłaniające uwagę mas mowy francuzkich lub angielskich adwokatów i półsłówka książąt krwi ustępują zwolna miejsca rozwadze, jak sami sobie najskuteczniéj pomódz możemy, bez oglądania się, jakie nowiny przyniosą nam w żebraczych torbach nasi improwizowani dyplomaci, wojażujący narodowym kosztem. Iskra swojskiego uczucia zagrzewa nas do systematycznéj pracy, do godziwego współubiegania się, wypalając w przewróconych mózgownicach butwiejące tam od dawna polityczne kłaki.

Pragnących urojeń i bałamuctwa coraz mniéj a w miarę tego rozszerzają się luki w falandze krzykaczy, apostołów fanatyzmu i wszelakich lichych namiętności. Społeczeństwo nasze pracuje i myśli, pędząc przed sobą uciekające resztki deklamujących, udrapowanych w szmaty czułostkowości idjotów.

Projektomanja nigdzie się tak silnie nie rozwinęła i nigdzie tak licznych zastępów nie uruchomiła jak w Kongresówce, mianowicie od chwili, gdy młoda prasa jęła się gorliwie pracy i wybitne zajęła stanowisko. Z Kongresówki, która jest dziś wzorem do naśladowania, przeniosła się projektomanja do nas — nie wstydźmy się jéj, bo projektomanja, bądź co bądź, płynie z natężenia szlachetnych popędów i przynosi społeczeństwu istotne korzyści tak w formie zysków realnych, jak pod postacią wpływu przygotowującego śmiałych i zdolnych ludzi do czynu. Niech kto chce wojuje ironją, sieje zwątpienie, — komu wola niech idzie naprzód, nie zważając na krzyki i tamy — te bowiem podnosi lenistwo i ciemnota.

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W tym samym czasie na poddaszu w dworku na bocznéj ulicy bardzo podobna, ale i bardzo różna odbywała się scena.

Kiedy Zakucki powrócił z doktorem, ku największemu zdumieniu i niezadowoleniu swojemu zastał zamiast pacjenta, pacjentkę.

Na tém samém łóżku, na którém złożono omdlałego pana Maurycego, spoczywała również omdlała, ze skrwawioną skronią Franusia.

Prześliczna biała jéj cera wydawała się śmiertelnie bladą; oczy miała zamknięte, puls uderzał bardzo powoli, a tchu prawie słychać nie było.

Dokoła niéj stali ci sami, którzy przed chwilą otaczali bogacza: państwo Łukaszostwo i ślepa na jedno oko Katarzyna, błagalnemi spojrzeniami i niemym giestem zaklinając o ratunek wchodzącego lekarza.

Zakucki spojrzał i zdawało się, że głowę stracił.

— Co się stało? — zawołał przerażony.

— Nieszczęście... przypadek... — odpowiedział Żalicki.

— Jakim sposobem ona?... gdzie się podział tamten?...

— Zerwał się... zmartwychwstał... uciekł... wyleciał jak szalony... postrzeleniec jakiś, Boże odpuść... i panienkę nam zabił na wychodném... zbójca jeden... Pięknych nam gości pan sprowadza... — lamentowała i robiła wyrzuty Zakuckiemu Katarzyna, — ot, tylko ta czapka została po tym rozbójniku niegodziwcu...

Zakucki machnął ręką.

— Wszelako, chciałem zrobić dobrze, — rzekł, — ale już to takie widać moje nieszczęście, że im chcę zrobić lepiéj, tém robię gorzéj...

Podczas téj rozmowy, prowadzonéj na boku, doktor z panią Łukaszową opatrywał ranę Franusi.

Lekarzem, którego pierwszego mógł złapać i przyprowadzić z sobą Zakucki, był człowiek młody, liczący

lat około dwudziestu sześciu lub siedmiu. Odzież jego nie elegancka i dobrze podszarzana, chociaż schludna, świadczyła wyraźnie jakie stanowisko zajmował w hierarchji kapłanów téj sztuki, która nielicznym swym wybrańcom przynosi chleb obfity, honory i sławę, a dla większości swych adeptów jest areną walki o byt, długiéj, trudnéj, mozolnéj, może dłuższéj, trudniejszéj i mozolniejszéj, niż w każdym innym zawodzie.

Jan Pal, syn ubogich rodziców, ścierając się z nędzą na każdym kroku, doszedł aż do doktorskiego dyplomu. Skończył szkoły i uniwersytet, dokazał nawet tyle, że się doktoryzował, nie mając od początku swojéj naukowéj karjery żadnéj innéj pomocy, oprócz swoich własnych dwóch rąk i głowy. Żył z lekcji, z korepetycji, z tłomaczeń, z przepisywań akt sądowych i sztuk teatralnych, a nawet nut muzycznych, które się nauczył kopjować i kopjował gdy innéj roboty dostać nie mógł, chociaż stosunki jego nie były nigdy tak świetne, żeby mógł choć godzinę dziennie poświęcić uczeniu się grać na jakim instrumencie, któryby się stał dla niego rozrywką i wytchnieniem po pracy. Można powiedzieć, że przez cały czas swego akademickiego zawodu nie znał co jest spoczynek i wytchnienie.

To co zarabiał wówczas, wystarczało zaledwie na skromne a konieczne wydatki.

Życie takie wyrabia charakter, czyni moralnie silniejszym, ale wycieńcza ciało i robi fizycznie słabszym.

Dyplom doktorski nie jest patentem na wziętość. Téj trzeba się dorabiać długą pracą, albo umieć ją zdobyć bez wielkiego zachodu, szarlatanerją. Jan Pal nie posiadał zupełnie téj ostatniéj zdolności, nie umiał się narzucać i sprzedawać, łatwo więc osądzić jakie były jego początki, kto wié czy nie twardsze od akademickiéj walki z losem.

Praktyki nie miał prawie żadnéj, chyba u biednych, u których można dokonać najcudowniejszéj i najszczęśliwszéj kuracji, a nikt o tém się nie dowie w tym świecie, gdzie opłacają lekarzy.

Szukał posady i gotów był przyjąć każdą, jakąby mu dano na początek, chociażby w najlichszém miasteczku, ale do otrzymania posad potrzeba protekcji i stosunków, a tych mu zupełnie brakowało.

Los nie zważał na dyplom uniwersytecki i surowym a skąpym był dla niego tak jak przed otrzymaniem tego dyplomu, nie myśląc pofolgować w swéj zawziętości.

W jednéj przecież rzeczy, lecz w jednéj tylko, prześladowca ten okazał się łaskawym i szczodrym dla swojego pasierba.

Jakkolwiek biedny, Jan Pal posiadał coś takiego, co się na giełdzie życia da czasami wymienić na grubą gotówkę.

Był wątły, w skutek nadszarpanego pracą zdrowia, był wycieńczony życiem w niedostatku, a przecież był tak pięknym mężczyzną, że gdyby ten sam los był chciał, żeby go nie Zakucki do Franusi, ale jaki wygalonowany lokaj zaprowadził do jakiéj księżniczki lub bankierówny, to kto wié, czy młody lekarz, zamiast wyleczyć albo przynieść ulgę, nie wpędziłby pacjentki w taką chorobę, z któréj sam tylko mógłby być lekarstwem.

Niestety! do księżniczek i bankierówien nie wzywano Jana Pala, ale doktora Tryszcza, który był stary, łysy, zatabaczony, z małżonką swoją przeżył tyle lat, ile potrzeba urzędnikowi do wysłużenia całéj emerytury, miał żonatych synów, zamężne córki i sporą kolekcję wnuczków i wnuczek po mieczu i po kądzieli.

A jak gdzie zasłabła śliczna młoda dziewczyna, mająca w posagu tylko młodość i wdzięk, wtedy szukano lekarza który nie ma nic, a więc nie ma i prawa żądać czegoś za swój czas i fatygę, i wtedy dopiéro znajdowano naszego młodego medyka.

Jan Pal spieszył, rozpoczynał kurację, wyleczał, i po ostatniéj wizycie odchodził smutny, unosząc w pamięci wspomnienie pięknéj, dziękującéj mu uśmiechem za zdrowie twarzyczki, a w kieszeni taką samą pustkę, z jaką przyszedł.

Takie pacjentki były jedynemi kobiétami, jakie widywał w swojém życiu. W praktyce jego było ich dopiéro kilka.

Bądź co bądź, chociaż podobały mu się wszystkie, dotychczas nie zakochał się jeszcze.

Było to trochę może dziwne. Jan Pal przez cały czas swoich nauk, tak w gimnazjum jak na uniwersytecie, nie znał innych istot rodzaju żeńskiego, oprócz książki, prelekcji, lekcji, korepetycji, patologji, terapji, oraz wszystkich innych ogji i apji, bez poznania których nie mógłby był otrzymać stopnia wolno praktykującego lekarza. Świat kobiécy był dla niego nowością, a wiadomo, że nowicjusze w tym świecie najczęściéj zostawiają serce na samym jego progu. Pierwsza dziewczyna którą spotkają podnosi je i zabiera, czy go jest warta czy niewarta.

Że z młodym lekarzem tak się nie stało, przypisać to należy głównie temu, że czując iż nie ma utrzymania, o ożenieniu się nie myślał, a o miłości nie mającéj prowadzić do ołtarza, nie miał prawie wyobrażenia, choć był — medykiem.

Gdy zobaczył Franusię omdlałą i skrwawioną, serce mu silniéj uderzyło. Dyskrecja mu nie pozwalała pytać się o przyczynę skaleczenia, odgadywał ją domysłem, a w domysłach przedstawiał mu się cały dramat.

Z rozmowy dowiedział się, że Franusia była kuzynką Żalickich, jeden rzut oka na mieszkanie powiedział mu o biedzie jaka tam gościła, krótka praktyka pomiędzy mieszkańcami suteren i strychów dała mu poznać sceny, jakie się tam odgrywają niekiedy. Na tém się oparły jego domysły.

— Biedna dziewczyna, — powiedział do siebie, — jest na łasce i opiece u tych ludzi, którzy sami mają za mało, żeby nie mieli żałować sierocie kawałka chleba, jakiego ich pozbawia... to téż traktować ją muszą po ojczymiemu i po macoszemu... ten upadek, który wywołał skaleczenie, musiał być skutkiem podobnego traktowania... I cóż przyjdzie temu ślicznemu dziewczęciu z tego, że ją opatrzę i wyleczę?... jutro, pojutrze ponowi się toż samo, może w sposób cięższy jeszcze i okrutniejszy...

Łza mu zakręciła się w oku. Niedola lituje się nad niedolą.

— Ah! — pomyślał, — żebym to ja miał jakie takie utrzymanie — to śliczne dziewczę nie może nie być godném kochania...

Odezwało się w jego sercu współczucie takie, jakiego jeszcze nigdy nie doznawał dla swych pacjentek...

Rana Franusi nie była ciężką i niebezpieczną, ocucenie jéj przyszło dość łatwo, zatamowanie krwi nie było trudne, kompresy z zimnéj wody uśmierzyły ból, lekarz był prawie niepotrzebny. Do zupełnego uleczenia potrzeba było tylko zalecić nieco dłuższy spoczynek.

Młody doktor widział to, ale nie mógł pogodzić się z myślą, że jeżeli zaraz odejdzie i wyzna, że jest niepotrzebny, utraci sposobność bliższego zaznajomienia się z dziewczęciem, które w nim takie żywe obudziło współczucie. Miał ochotę podszyć swój własny interes pod interes pacjentki i zapowiedzieć dalsze wizyty, ale sprzeciwiało się temu jego sumienie. Krzątając się koło choréj, toczył z niém walkę.

— Pieniędzy przecież od nich za wizyty nie przyjmę, choćby mi je nawet dawali, — mówił do siebie, — cóż zatém stracę?...

Ta uwaga nie była dostateczną, kiedy jednak człowiek chce czegoś bardzo, to potrafi z łatwością przekonać sam siebie, że to być może i powinno.

Przyszła mu myśl, która go usprawiedliwiała zupełnie.

— Gdyby się pokazało, że takie popchnięcie i stłuczenie jest niczém, ci ludzie lekceważyliby swój postępek i nie obawialiby się traktować jéj jeszcze gorzéj. Jeżeli się przekonają, że poniewieranie sieroty na kilka dni pozbawi ich jéj pomocy, będą ją oszczędzali w własnym swoim interesie.

Tak zaspokoiwszy sumienie swoje oświadczył Żalickim, że chociaż choréj nic nie grozi, lecz wstrząśnienie było bardzo silne, należy ją zostawić przez kilka dni w łóżku, gdyż inaczéj może nastąpić gorączka i jaka niebezpieczna choroba. Zapowiedział, że będzie przychodził co dzień, a nawet częściéj, jeśli stan choréj wymagać tego będzie, a kiedy zakłopotany Żalicki zapytał go, czém mu wynagrodzi jego fatygę, odrzekł:

— Dobrém sercem i życzliwém słowem, więcéj nic przyjąć nie mogę.

Na wychodném, Zakucki wyprowadził go na schody i ściskając dłoń jego chciał mu w nią wsunąć papierek.

Jan Pal zlekka usunął jego rękę, twarz mu nabiegła rumieńcem.

— To niepotrzebne, — odpowiedział, — pod żadnym pozorem nie przyjmę.

Nie miał w téj chwili, jak to mówią, ani grosza przy duszy, a w żadnéj restauracji tego dnia nie widziano go na obiedzie.

VI.

— No, panie Kwirynie, nawarzyłeś piwa, teraz je pij, — robił sobie w duchu wyrzuty Zakucki po odejściu doktora, — zobaczymy, jak cię przyjmie pan Grzmocki, gdy mu jego czapkę odniesiesz, zobaczymy, czy będzie chciał jeszcze być chrzestnym ojcem Wacławka, zobaczymy, jak długo Franusia pochérla, słowem zobaczymy co z tego będzie. Dobrześ chciał panie Kwirynie, a wszelako zrobiłeś źle. To się nazywa twoja zręczność i umiejętność brania się do rzeczy. Nawarzyłeś piwa, będziesz je pił.

Fatalny obrót, jaki wzięły jego plany, mało do rozpaczy nie przyprowadził poczciwego pana Kwiryna.

Najbardziéj go to gniewało, martwiło i przerażało, że, jak się przekonywał, piwa, którego nawarzył, było daleko więcéj. niż myślał z początku.

Gdy przyszedł do pana Grzmockiego zastał tam taki rejwach i zamęt, jakby pan domu był już jedną nogą na tamtym świecie. Trudno było spodziewać się choroby po człowieku, który z gołą głową umknął z poddasza i na odchodném takiém popchnięciem uczęstował Franusię, więc pojmujemy, jak to musiało zdziwić pana Kwiryna.

Służba miała rozkaz wpuszczania go o każdéj porze, rozkazu tego nikt nie odwoływał, nie wiedziano wcale co zaszło, więc mu nie wzbroniono wstępu. Gdyby zresztą w przedpokoju zrobiono jaką opozycję, do usunięcia jéj byłby dostatecznym talizman, który pan Kwiryn z sobą przynosił a którym była czapka jaśnie pana.

Wpuszczenie do pokoju przeznaczonego na przyjmowanie przybywających za interesami nie było jednak jeszcze dopuszczeniem do samego gospodarza.

Na wieść o przybyciu czapki pana hrabiego (cała służba tytułowała pana Maurycego hrabią, nie dla tego, żeby jéj to ktoś nakazywał, ale że nikt tego nie bronił) i że czapka a raczéj ten, co ją przyniósł, prosi o chwilę rozmowy, hrabina z domu Grzmocka i młody pan Grzmocki, mąż baronówny, pospieszyli do oczekującego pana Kwiryna.

Każde z nich zawiadomiono oddzielnie o przybyciu czapki... chcieliśmy powiedzieć pana Kwiryna, poszli więc do niego nie wiedząc o sobie, weszli do pokoju jednocześnie, ale różnemi drzwiami i poczciwego Zakuckiego zaatakowali z dwóch stron pytaniem:

— Bądźże pan łaskaw powiedzieć, jak to się stało?...

Mały człowieczek w czamarce, który był pewny, ze samego pana domu zobaczy i który właśnie po to przyszedł, ażeby się dowiedzieć „jak się to stało?“ zmięszał się na widok osób których nie znał, a szczególnie na widok hrabiny.

Nie wiadomo, czy to było wypływem jakich dawniejszych okoliczności jego życia, czy wynikało po prostu ztąd, że Zakucki nie miewał nigdy stosunków z damami wyższego świata, dosyć, że się okropnie bał wielkich pań. Na szelest materjalnéj sukni chowała się do kąta jego zwykła buta, płoszyła się rezolutność, chromiała wymowa, nawet wiekuisty rumieniec zdawał się znikać z twarzy, tylko oczy biegały prędzéj, ulubione „wszelako“ jeszcze częściéj nasuwało się na usta, a zwykły uśmiech jego twarzy zastępowała sztuczna jakaś i prawie komiczna powaga.

— Wszelako, — zająkał się na sam początek, — wszelako, ja sam nie wiem, jak się to stało... i wszelako... gdyby nie ta czapka, pani baronowo...

Każdą „wielką panią“, to jest każdą taką, która na nim robiła powyżéj opisane wrażenie, pan Kwiryn w pomięszaniu tytułował baronową, co nieraz, naprzykład w tym wypadku, mogło być bardzo niestosowne.

Hrabina z domu Grzmocka nie uznała jednak za właściwe urażać się o tę intytulację i czekała dosyć spokojnie aż mówiący zgromadzi swoje myśli i opowie całą historję...

— Gdyby nie ta czapka, pani baronowo, — powtórzył pan Kwiryn, — to jabym sam nie wierzył w to, co zaszło... wszelako czapka jest dokumentem... Otóż pan Grzmocki, jako człowiek dobroczynny i kochający ludzkość, pragnął, ażebym mu pokazał co to jest prawdziwa nędza.. prawdziwe nieszczęście... którego dotąd wszelako nie znał... pragnął zobaczyć odwrotną stronę tego medalu, którego strona główna tak smutnie już wygląda... jednym słowem pragnął wszelako poznać co to jest człowiek, którego losy wszelako postawiły na ostatnim już szczeblu, a na którym wszelako...

W tém miejscu Zakucki pragnął zażyć tabaki, wiemy że była ona jednym z najulubieńszych jego przysmaków, ale w obecności „wielkiéj damy“ zapomniał nagle sztuki otwierania swéj tabakierki i daremnemi były wszelkie jego przedsiębrane w tym celu wysilenia, które jego postaci dawały wyraz najkomiczniejszy.

Po chwili, widząc, że tabakierce rady nie da, machnął ręką i rzekł:

— Wszelako, nie będę nudził pani baronowéj... dosyć że w tym celu pan Grzmocki udał się do pewnego domu, który tu leży niebardzo daleko, wszelako już na ulicy Przymiejskiéj... i tam...

Hrabina z domu Grzmocka i młody pan Grzmocki, mąż baronówny, jakby instynktownie odsunęli się o kilka kroków od mówiącego.

— Przy ulicy Przymiejskiéj, powiadasz pan? — zapytał młody pan Grzmocki.

Pan Kwiryn zaczął znowu mocować się z tabakierką bezskutecznie i nie przestając tych manewrów, rzekł wprost do męża baronówny zwrócony:

— Tak powiedziałem, pani baronowo... wszelako przy ulicy Przymiejskiéj...

Oczywiście „wielka dama“ tak go olśniła, że przy niéj już nikogo nie widział.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do młodych poetów.

O bracia moi, o młodzi śpiewacy
Jakiż te bożek do snu was kołysze?
Do jakiéjż ciężkiéj wprzęgliście się pracy,
Że nigdzie głosu waszego nie słyszę?

Smutno téż, smutno dziś w naszéj krainie,
Wprawdzie się czasem odzywa muzyka,
Lecz dźwięk jéj ostry do dusz nam nie płynie,
Ach! bo tęsknimy za pieśnią słowika.

Wszak nam po pracy wypocząć się godzi,
I cóż nas większą radością napoi,
Co nasze serca palące ochłodzi
Lepiéj niż wasza piosnka bracia moi!

Nie wszystkim można jednako pracować.
Wam namaszczonym na piewców narodu
Wolnoż bezkarnie dar Boży marnować
I siły swoje niszczyć już za młodu!

Jakże staniecie u Bożego tronu
Kiedyś a Stwórca wam łagodnie powie:
Gdzież wasze pieśni, któreście do zgonu
Przyrzekli nucić swemu narodowi?

Dawniéj przy uczcie starzy wajdeloci
Ubiegłe dzieje w pieśni wygłaszali,
Dziś biesiadnikom wino humor złoci,
Chociaż pragnienie wnętrzności im pali —

Nie wstyd wam milczeć, gdy łakniemy pieśni,
Gdyśmy znękani, pognębieni, smutni,
Nie wstyd wam, bracia, owéj stęchłéj pleśni,
Która pokrywa struny waszéj lutni?

O bracia moi, zbierzcie wszystkie siły,
Uderzcie w struny lutni waszéj śmiało —
Gdy wierni bardy zeszli do mogiły,
Wam dziś ich miejsca zastąpić przystało.

Nie wymawiajcie się brakiem natchnienia,
Macie natchnienie — gdy słuchać jest komu,
Śpiewajcie bracia! ach! bo wasze pienia
Rozjaśnią ciemne ściany w naszym domu.

Śpiewajcież bracia! Bóg wam dopomoże,
Naród spragniony chwyci piosnkę chciwie,
Ja na początek słowo „Szczęść wam Boże“ —
Ślę — oczekując pieśni niecierpliwie!

E. E.

Zadania filozofji w naszych czasach

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

Filozofja powstała razem z refleksją i jeżeli ma znaczyć rozmyślanie nad myślą i nad poznaniem, to większa część starożytnych religji Indostanu nosi charakter systemów filozoficznych, gdyż ich dualizm opiera się bardziéj na krytycznym dualizmie, opierającym się na badaniu poznania i przez to bardziéj podobnym do dualizmu Platona i Kanta aniżeli do dogmatycznego dualizmu, opierającego się na rozłączeniu materji i ducha.

Ale i rasa semitycka, rasa najpłodniejsza pod względem systemów religijnych, w najstarszym pomniku swojego genjuszu, to jest w biblji, daje nam dowód, jak niektóre zadania od wieków już zajmowały ludzkość i księga Joba pod względem głębokości pomysłów nie ustępuje najpierwszym filozofom starożytności i nowoczesnym.

Oryginalném się to może wydawać, że księga Joba w swoich rezultatach zbliża się bardzo do krytycyzmu a nawet mogłaby się komu i sceptyczną wydawać, chociaż zachowuje w sobie cechy religijne swojego pochodzenia. Jak wiadomo, narodowi izraelskiemu dotąd w rytuale zabronioném jest wymawiać imię Boga narodowego i prawowierny Izraelita wszędzie, gdzie widzi napisane imię Jehovah, powinien czytać natomiast Adonai, Pan. Zwyczaj ten powstał zapewne z obawy, ażeby omyłką w wymowie go nie obrażać, podobnie jak w filozofji krytycznéj stawia się rzecz sama w sobie, jak Noumenon filozofów greckich, którego bliżéj oznaczyć niepodobna.

W żadnym systemie filozoficznym nie jest jaśniéj wyrażona myśl potrzeby pewnéj oględności w twierdzeniu jak i przeczeniu w kwestjach, które z natury swojéj przechodzą granice naszego umysłu, jak w księdze Joba.

Daleką jest ona wszelako od tego lekkomyślnego sceptycyzmu, który w Lucianie albo w Baylu miłym uśmiechem ukrywa swą próżnię i podobnie jak Kant ma jeden pewnik to jest konieczność prawa moralnego, ale wszakże powstrzymuje zarozumiałość tych, którzy wygłaszają swoje opinje absolutne o prawdach przedwiecznych. Księga Joba nie wątpi właściwie ale zmusza do wyznania nieświadomości.

Pomimo całéj swéj głębokości księga Joba jest zapewne starszą od nazwy filozofji, któréj to nazwy użyto po raz pierwszy w Grecji na oznaczenie tego nieokreślonego popędu do wiedzy, która się obudziła u Greków z legendowym Pitagoresem. Przypuszczamy nawet, że filozofja nosi jeszcze na sobie cechę tego swojego pochodzenia i dotąd wyraża zawsze coś nieokreślonego.

Kiedy mówimy botanika lub chemja, historja albo mineralogja, przychodzi nam na myśl pewna grupa faktów ściśle określonych, i przy bardzo nawet ogólném i powierzchowném wyobrażeniu o tych naukach możemy mieć jakie takie pojęcie, czém się właściwie zajmują, podczas kiedy z filozofją rzecz się ma wprost przeciwnie; osoby, które się zagłębiają w studja filozoficzne, byłyby często w kłopocie, gdyby ich zagadniono, czém się właściwie zajmują.

Przyczyna tego jest bardzo prosta. Gdy owa nieokreślona żądza wiedzy została nazwaną filozofją przez Greków, ich młodzieńcza ciekawość nie miała tych środków naukowych, które obecnie posiadamy, nie miała tylu wieków doświadczenia, których my dziedzicami jesteśmy, i musiała zwrócić się do spekulacji filozoficznéj, żeby rozstrzygać te kwestje, które nauka nowoczesna probuje rozwiązać za pomocą doświadczenia. W ten sposób powstały przed Sokratesem wszystkie szkoły filozoficzne greckie, które się zajmowały wytłomaczeniem sobie świata i jego początków, ztąd także pochodzi, że nawet i po Sokratesie filozofja nie pozbyła

się owego charakteru wszechwiedzy, który tak się różni od zwyczajów naukowych naszych czasów, ale który wtedy był koniecznością; Arystoteles musiał zajmować się całym obszarem wiadomości ludzkich i pod tym względem większe daleko ma znaczenie w dziejach umysłu ludzkiego od samego nawet Sokratesa, gdyż ten ostatni ma sobie nawet do wyrzucenia, że pierwszy wprowadził te poglądy teleologiczne, które dotąd utrudniają postęp naukowy i stawiają rozbrat teorji i praktyki, tę kolizją między prawdami naukowemi i wymaganiami uczuć moralnych, które zagładzić chciał Galileusz, ale które wygładził właściwie dopiéro Kant już prawie w naszych czasach.

W Fedonie Platona czytamy, jak Sokrates mówi o sobie.

Wiedząc, że Anaxagoras w jedném swojém dziele twierdzi, że myśl (νους) kieruje wszystkiém, bardzo się ucieszyłem, że znajdę ten rodzaj przyczyny, gdyż musiałbym ztąd wnosić, że każda istota musi się znajdować w najkorzystniejszych dla siebie warunkach. Spodziewałem się zatém z najwyższą moją radością, że znajdę w dziele Anaxagorasa mistrza, który mię uwiadomi o przyczynach wszech rzeczy, który mi powie, czy ziemia jest okrągłą czy płaską, i da następnie przyczynę tego, co o niéj powie, a ponieważ myślałem, że ta przyczyna będzie miała za podstawę ideę najwyższéj doskonałości, spodziewałem się, że mi następnie wykaże, że położenie ziemi jest najlepsze. jakie mieć może, i że, jeżeli ją umieści we środku, wykaże, dla czego to położenie jest najkorzystniejszém. Postanowiłem nie szukać innego rodzaju przyczyn; ażeby się tylko w tym kierunku czegoś dowiedzieć, a potém zapytać się o stosunkach systemu i jego przemian, co się znajduje między księżycem, słońcem i innemi gwiazdami, jakie są przyczyny ciał tych, gdy się zachowują czynnie lub biernie, gdyż nie mogłem sobie wyobrazić, żeby filozof, który kładzie myśl na czele swojego systemu, mógł następnie przypuszczać inne jakiekolwiek przyczyny jak to, że wszystko, co się znajduje, znajduje się w najlepszym możliwym stanie. Myślałbym, że wytłomaczywszy w ten sposób każdą rzecz pojedynczą', wytłomaczyłby także ich dobro ogólne. Pełen tych pięknych nadziei, wziąłem się do czytania tych pism, ażeby poznać natychmiast, co jest złem a co dobrem, lecz natomiast znajduję, że ten filozof nie używa myśli ani żadnéj przyczyny odnoszącéj się do początku istnienia, ale odnosi wszystko do powietrza, eteru, wody i innych przedmiotów, podobnie bezmyślnych jak ich początek. Jest to to samo zupełnie, jak gdyby kto przypuściwszy naprzód, że wszystko, co czynię, czynię rozmyślnie, dał następnie takie powody mojéj tutaj obecności: Sokrates siedzi, gdyż jego ciało składa się z kości i muszkułów, które skutkiem praw swojego mechanizmu giąć się mogą a przez to może swe członki ułożyć. Mówi, gdyż język jego porusza powietrze i zanosi wrażenie tego ruchu aż do uszu. Człowiek ten zapomniałby o prawdziwéj przyczynie, a tą jest, że ponieważ Ateńczycy osądzili, że lepiéj jest, abym został skazanym, i ja znalazłem także, że słuszniéj jest, żeby mnie skazano, a zatém także, żebym tutaj siedział i następnie wycierpiał karę, na którą zostałem skazany. Jeżeliby ktoś na to powiedział, że bez kości i bez muszkułów nigdybym nie był w stanie wykonać tego, co chcę, miałby słuszność, lecz jeżeli mówi, że ją wykonywam z powodu kości i moich muszkułów i t. p. a nie dla tego, że wybieram, co mi się wydaje najlepszém, i o którym twierdzi, że działam rozmyślnie, wtedy mowa jego będzie bardzo niedorzeczną.

Widzimy, że wyłączne zajmowanie się zadaniami moralnemi ukształtowało myśl Sokratesa w takim kierunku, któryby nigdy nie pozwolił na rozwój nauk pozytywnych.

Nie bardzo téż i dbał o nie Sokrates. W Pamiętnikach Xenofonta czytamy o nim: Był zdania, żeby pewien czas oznaczony tylko poświęcić astronomji, ażeby poznać z gwiazd, która godzina, w którym dniu miesiąca i w któréj porze roku się znajdujemy, ażeby wiedzieć, kiedy wartę zmienić należy lub kiedy się puszczać w podróż lądem lub morzem; mówił zaś, że wszystkiego tego można się nauczyć z łatwością rozmawiając z majtkami lub z tymi, którzy nocami polują. Lecz chcieć badać głębiéj, do tego stopnia, żeby wiedzieć wszystkie gwiazdy jak zmieniły położenie, i chcieć wytłomaczyć rozmaite ruchy planet i poznać ich odległość od ziemi, lub w jakim czasie odbywają swe zmiany, jakie są ich wpływy, odradzał wszystkim jako rzecz nieużyteczną i zabierającą wszystek czas człowiekowi, który tym sposobem nie może się już oddać innym użytecznym i dobrym zajęciom. Słowem (Sokrates) nie chciał poszukiwać nadto ciekawie całego wspaniałego planu, według którego bogowie świat urządzili, gdyż musi on być otoczony tajemnicą, któréj umysł ludzki zrozumieć nie może; zapewne nie jest to nawet czynem przyjemnym bogom chcieć odkryć to, co oni przed nami zasłonili.

W pierwszym ustępie mamy wzór i tajemnicę każdéj teleologji, to jest, że jak Sokrates w swojéj świadoméj woli tłomaczy słusznie własne czynności, tak samoby chciał mieć wytłomaczone i zjawiska natury jakąś świadomą wolą, jest zaś rzeczą oczywistą, że takiego rodzaju objaśnieniami zajmować się może tylko teologja, gdyż ona tylko każde zjawisko uważać musi zawsze bezpośrednio jako czyn stworżenia.

Drugi rys, przytoczony z Xenofonta; musiałby koniecznie prowadzić albo do najśmieszniejszego utylitaryzmu, albo do sceptycyzmu. W innéj formie myśl tę wyraża i słynny Bayle. Prawda, mówi on, nie jest użyteczną ani prywatnym ani dobru publicznemu. Mistycznego zaś pojęcia o gniewie bogów z powodu badania ich sekretów nie umiałby powtórzyć nawet zatwardziały nowoczesny Jezuita, który jednak życie całe dla przeprowadzenia téj myśli poświęca.

W szkole téż Sokratesa tylko wojak-filozof Xenofon miał to odwagę wypowiedzieć. Arystoteles zupełnie się inaczéj wyraża o owéj mniemanéj zawiści bogów. Niektórzy poeci, mówi on, twierdzą, jakoby bogowie mieli być skłonni do zawiści, ale bóstwo zawiści przystępném być nie może, a wiele już nieprawd powiedzieli poeci.

Zadziwić to musi każdego, że z imieniem Arystotelesa, filozofa przedewszystkiém zdrowego rozsądku, łączy się imię szkoły filozoficznéj, która jest negacją zdrowego rozsądku, to jest średniowiecznéj scholastyki. Michał Wiśniewski dał tak obszerną historję scholastyki, że zbytecznem byłoby coś o niéj więcéj powiedzieć, pozostaje nam tylko rozebrać żywioły filozoficzne, z których powstała.

Scholastyka jest tak związaną z historją dogmatów kościoła, że nie można ich oddzielać, a nawet żeby zrozumieć scholastykę, potrzeba podciągnąć pod rozbiór i początki chrześcijaństwa; wielu wreszcie szczerze wierzących w Sokratesie widzi greckiego poprzednika Chrystusa, a kardynał Pallavicini utrzymuje, że bez Arystotelesa brakowałoby kościołowi wielu dogmatów. Izraelskie początki chrystjanizmu nie mogłyby mu nigdy zapewnić téj supremacji, którą dotąd posiada, gdyż nie miały właściwie racjonalnych podstaw. Jehovah, bóg niektórych plemion semityckich, zawierał w sobie pojęcia i poglądy, połączone we wszystkich religjach z bóstwem światła, to jest o wiele idealniejsze od bóstw uosabiających na przykład siłę rodzajną ziemi' lub podobne pojęcia; jego cześć na przykład wyklucza orgje lub dobrowolne kaleczenie się, które miały miejsce w obrządkach stanowionych ku czci innych bóstw se-

mityckich i przez to stał się naprzód głównym, a następnie jedynym bogiem narodu izraelskiego, narodu ubogiego, bez przemysłu, jak pobratymcy Fenicjanie, bez żyznego terytorjum, jak mieszkańcy doliny Tygru i Eufratu. W biblji mamy liczne ślady walk między kapłanami Jehovy i kapłanami innych bóstw, które się zakończyły ostateczném zwycięztwem pierwszych.

Dwa te monoteizmy zetknęły się w Alexandrji i w pierwszym wieku chrystjanizmu utrzymywały się w zupełnéj równowadze.

Nie tak się rzeczy miały w tak zwanym okresie Ojców Kościoła, w którym judaizm nabierał coraz więcéj wpływu w formowaniu się dogmatów kościoła, chociaż jeszcze wtedy nie przyszło do dzisiejszego antropomorfizmu i skrystalizowania się dogmatów, jakie widzimy obecnie w kościele katolickim. Każdy Ojciec Kościoła zależał przedewszystkiém od własnego sumienia i dla tego żaden nie mógł stracić charakteru myśliciela, zajmującego się sformułowaniem swojéj wiary religijnéj.

Przy tém wszystkiém nie należy zapominać, że świat starożytny zaczął konać jeszcze przed stanowczym ciosem, jaki mu barbarzyńcy zadali. Już świat rzymski pod względem sztuki, poezji i filozofji był o wiele niższym od świata greckiego. Między Sokratesem i Katonem, między Platonem i Cyceronem, między Arystotelesem i Plinjuszem znaczna zachodzi różnica, która zapewne nie wypadnie na korzyść rzymskich myślicieli, a Katon, Cycero i Plinjusz są jeszcze przedstawicielami świetniejszych czasów, późniejsi nie dorastali nawet do ich poziomu a tém samém nie mogli krytycznie badać chrystjanizmu, ale przyjmując go, przyjmowali jako dalszy ciąg mitologji izraelskiéj, chcieli tylko pogodzić ją z niektóremi pojęciami filozofji w podobny sposób, jak Juljusz Apostata chciał pogodzić mity greckie z filozofją Platona. Chrześcijańscy myśliciele pierwszych wieków kościoła także chcieli się opierać na Platonie i właśnie na najmniéj zrozumiałych jego ustępach. Należy jednak dodać, że opierając mitologję izraelską na filozofji greckiéj, nadali jéj kierunek moralny i filozoficzny. Tym sposobem Jehovah stał się uosobieniem prawa moralnego, wschodnie podania mesjaniczne zlały się w jednę całość z neoplatońską duszą świata, logos, i wydały razem teorję odkupienia rodu ludzkiego przez dobrowolną śmierć Zbawiciela. Inne istoty nadprzyrodzone mitologji żydowskiéj, genjusze, poddani bogu światła, u wielu stali się uosobieniami cnót a w niektórych razach ważnemi czynnikami w porządku świata*), jak znowu genjusze ciemności, nieprzyjaźni bogowi światła, stali się uosobieniem złego moralnego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) U świętego Tomasza z Aquinu n. p. subjektami idei Platona, jak to widzimy z jego definicji i podziału pojęć ogólnych: Universale est triplex, scilicet universale in re, id est natura communis in particularibus, universale post rem, id est abstractum ab eis, universale ante rem id est formae universales rerum in mentibus angelorum.

Z PRZYRODY.

Słońce.

Ze wszystkich ciał zapełniających niezmierzone przestwory niebios, słońce bez zaprzeczenia ma największe dla nas znaczenie Jest ono gwiazdą centralną, w około któréj ziemia bezustannie obieg swój dokonywa, jest źródłem pierwotném, z którego od setek tysięcy lat wypływa wszelka siła na ziemi. Jeszcze dziećmi będąc, przychodzimy do przekonania, że ciepło słoneczne jest koniecznym warunkiem wszelkiego życia, że bez niego rośliny dojrzewać nie są w stanie, zwierzęta zaś i człowiek bez niego istnieć nie mogą. Corocznie nadchodząca zima przypomina nam tę prawdę i każda wędrówka czy rzeczywista czy też fantazyjna po polach śniegowych głębokiéj północy ciągle nam ją powtarza. Ciepło słoneczne nietylko jest potrzebne dla życia organicznego, lecz jest jeszcze niezbędne dla każdego ruchu na ziemi; o prawdzie téj przekonać nas może szereg rozumowań bardzo prostych a jednak nieznanych powszechnie. Wyobraźmy sobie, że stoimy przy kole wodném, które zostaje wprawione w ruch przez przepływającą rzekę i przypomnijmy sobie początek téj wody; powstała ona z wody deszczowéj, którą źródło zebrało; deszcz zaś powstał z obłoków, które nań wiatr zapędził z mórz i jezior. Wiatr zaś i obłoki stworzyło ciepło promieniste słońca, które ogrzewając niejednostajnie lądy i morza, tworzy nad powierzchnią wód parę wodną, która wznosząc się w miejsca zimniejsze skrapla się i tworzy obłoki. Ciepło słoneczne podnosi wodę na góry, by ztamtąd powrócić ją morzu, przeprowadziwszy je uprzednio przez młyny wodne. Słońce zatém jest ostateczną przyczyną obiegu wody na ziemi, a tém samém wszelkich zjawisk pogody.

Niejeden z czytelników mógłby nam w tém miejscu zrobić zarzut, że i bez płynącéj wody można wykonywać najrozmaitsze ruchy, a mianowicie mógłby powiedzieć, że każda machina parowa podsycona parą wodną, wytworzoną za pomocą chemicznego procesu palenia się ciał, także jest w stanie wykonywać różnorodne ruchy. Otóż zarzut ten upadnie sam przez się, jeśli czytelnik zechce głębiéj się zastanowić nad pochodzeniem materjału palnego, podsycającego machinę parową. Czy tym materjałem będzie drzewo, czy węgiel, w każdym razie tylko pod działaniem ciepła i światła słonecznego wyrosło drzewo, z którego bierzemy materjał do opalania naszéj machiny. Lasy i pokłady węgla kamiennego są to magazyny, w których nagromadzone są promienie ciepła słonecznego. Z tych to magazynów od czasu do czasu czerpiemy pokarm dla naszych machin parowych. Gdy podnosimy ramię, robimy to wprawdzie pod wpływem woli, lecz fizjologowie dowiedli, że do tego sama wola nie wystarcza, gdyż przy podnoszeniu ramienia i w ogóle przy wykonywaniu jakiejkolwiek pracy mięśni zużywa się pewna ilość ciepła. Ciągłe ruchy bezustannie zabierają ciału naszemu ciepło, i ostatecznie wszelki ruch stałby się niemożebnym, jeślibyśmy się nie starali o nowy zapas ciepła; zapas taki dają nam pokarmy, które ciało przerabia, a zatém ciała organiczne, które wytworzone zostały pracą słońca. Pomimo téj ważności słońca dla ziemi, prawdziwa jego natura aż do ostatniego dziesiątka lat była dla nas nierozwiązaną zagadką, i wszelkie dawniejsze usiłowania bliższego poznania budowy słońca kończyły się na niczém. Dopiéro analiza spektralna zdołała przedrzeć zasłonę, po za którą gwiazda dzienna się ukrywała, ona to odkryła nam świat cudów, który o wiele przewyższa wymysły najbujniejszéj wyobraźni. Straszne i wspaniałe obrazy, jakie według geologji ziemia przedstawiała nie-

gdyś, gdy jeszcze była w stanie ognisto-płynnym, są niczém w porównaniu ze stanem, przez który obecnie jeszcze nasze słońce przechodzi.

Wyobraźcie sobie ogromną kulę, któréj objętość równa się objętości ośmiu kul, z których każda ma za promień odległość ziemi od księżyca, w najwyższym stopniu żaru, otoczoną gorejącą atmosferą wodorodu, bezustannie wichrzoną strasznemi burzami, w obec których najstraszniejsze nasze huragany są łagodnemi wietrzykami, — a będziecie mieli słaby obraz słońca odbywającego swój ruch w przestrzeni wśród planet je otaczających. Dzięki licznym obserwacjom znakomitych astronomów, między którymi bez zaprzeczenia pierwsze miejsce należy się O. Secchi w Rzymie, który opatrzony najlepszemi narzędziami, bezustannie prawie bada tarczę słoneczną, udało się zrobić szereg znakomitych odkryć co do budowy słońca. Rezultaty swych badań O. Secchi ogłosił w dziele pod tytułem: „Le Soleil“, które niedawno przetłomaczone zostało na język niemiecki przez Dr. Schellena. W dziele tém znajduje się wszystko co, dotychczas wiemy o słońcu.

Według dzisiejszego stanu nauki słońce jest masą rozżarzoną gazową lub płynną, któréj temperatura jest niezmiernie wysoka, i w skład któréj wchodzą metale i inne znane nam pierwiastki będące w stanie par. Granice widzialne téj ogromnéj kuli znajdują się tam, gdzie przez zgęszczenie par zniesiona została przezroczystość warstw gazowych pod nią leżących. Tę zewnętrzną warstwę nazywamy fotosferą. Nad tą warstwą na około słońca rozciąga się szeroko rozprzestrzeniona atmosfera, składająca się z cienkiéj warstwy tychże samych par metalicznych, które właśnie przez swe własności pochłaniające dają początek linjom Fraunhofera widma słonecznego, i z warstwy gazowéj, któréj główną część składową tworzy wodór i prawdopodobnie inny jeszcze nam nieznany dotąd gaz. Ostatnia powłoka, nazwana chromosferą, ma stosunkowo małą grubość: 1000—1500 mil Przechodzi ona w inną warstwę, daleko cieńszą, która tylko podczas zupełnych zaćmień jest widzialną i wtedy stanowi to, co nazywają koroną, wieniec promienisty, otaczający zaćmioną tarczę słoneczną.

Zewnętrzne ograniczenie korony nie jest foremném, i dopiéro wtedy, gdy się udało zdjąć z niéj fotografje, odkryto pewną prawidłowość w téj nieregularności. Przekonano się bowiem, że korona otacza słońce warstwą niejednostajnéj grubości, a mianowicie, że w bliskości biegunów słonecznych znajdują się dwie okolice, w których grubość téj warstwy jest mniejszą, aniżeli w innych punktach; że znowu w innych punktach brzegu słońca, których odległość biegunowa jest 25°, warstwa ta dosięga maksymum swéj rozciągłości.

Zaćmienie słońca 12 grudnia 1871 r., podczas którego obserwatorowie głównie zwracali uwagę na koronę, wykazało, że promienie korony nie mają związku z chromosferą, i że korona wysyła szczególne zielone światło; lecz natura ciała świecącego światłem zieloném dotychczas jest dla nas zagadkową, gdyż jéj widmo nie przedstawia podobieństwa do żadnego z znanych nam ciał ziemskich. Wnętrze słońca jest teatrem gwałtownych katastrof, których wprawdzie bezpośrednio obserwować nie możemy, lecz których działanie rozciąga się aż do saméj powierzchni, podnosząc masy fotosfery i chromosfery na znaczne przestrzenie i wysokości, wywołując odpowiednie zagłębienia w powierzchni słonecznéj. Z tych gwałtownych przewrotów we wnętrzu masy słonecznéj tworzą się protuberancje, pochodnie i plamy słoneczne.

Protuberancje są to prawdziwe wybuchy z wnętrza słońca; są one utworzone z żarzącego się wodoru i często niekiedy wznoszą się aż na 20,000 mil nad powierzchnią słońca, a zatém blisko na połowę odległości księżyca od ziemi. Odpowiednio do téj wysokości i objętość ich jest ogromna, po największéj części wynosi ona kilkakroć wziętą objętość całéj ziemi.

W skutek znakomitych odkryć Lockyera, Hugginsa i Zöllnera, które pozwalają nam obserwować protuberancje w każdéj chwili, przy pełnym blasku słonecznym, wiadomości o budowie i zmianach, jakim protuberancje ulegają, znacznie się rozszerzyły. Protuberancje są natury wybuchowéj, składają się one z żarzących gazów tworzących chromosferę. Gdy gazy te w znacznéj od słońca odległości stygną, to tworzą obłoki pływające w rzadkim i lekkim żarzącym się środku; tam są one przez niejaki czas widzialne, następnie zaś rozpraszają się. Środek ten prawdopodobnie składa się z wodoru i tworzy część korony. Prędkość, z jaką materja protuberancji zostaje wyrzucona, jest ogromną, w niektórych razach wynosi ona według Respighi'ego od 600 do 800 kilometrów na sekundę. Przy takiéj prędkości prawdopodobnie część wyrzuconéj materji słonecznéj nie spada już napowrót na słońce, lecz wchodzi w przestrzenie planetarne. Rozwiązanie téj kwestji jest niezmiernie ważném, jednakże stanowczéj odpowiedzi dopiéro od przyszłości spodziewać się możemy.

Obserwując słońce przez zwyczajną lunetę, opatrzoną szkłami kolorowemi, spostrzegamy, jak wiadomo, na jego powierzchni jaśniejsze i ciemniejsze miejsca najrozmaitszego kształtu, ulegające przytém najrozmaitszym zmianom. Ciemne miejsca nazywają się plamami słonecznemi, jasne pochodniami.

W niniejszym artykule nie możemy się wdawać w obszerny opis szczegółów, odnoszących się do plam słonecznych, zwrócimy tylko uwagę czytelników na to, że plamy słoneczne oprócz ruchu wspólnego, pochodzącego od obrotu słońca na około osi, mają jeszcze ruchy właściwe, świadczące o niezmiernie gwałtownych zjawiskach, odbywających się na powierzchni słońca. Do tego samego wniosku przychodzimy także, obserwując bezustanne i gwałtowne zmiany wielkości i kształtu plam.

O naturze plam słonecznych do téj chwili nic pewnego nie wiemy; różni badacze rozmaite podawali o nich teorje. Secchi utrzymuje, że plamy są to po prostu takie miejsca, w których, w skutek niezmiernie wysokiéj temperatury wybuchających z wnętrza słońca mas gazowych, fotosferyczne masy par zostały zamienione w gazy, t. j. ulotniły się. Ciemność plam pochodzi najprzód ztąd, że w tych miejscach świecąca fotosferyczna masa mglista została zastąpiona przez mało świecące masy gazowe; powtóre, że te ostatnie masy gazowe w miarę tego, jak się nagromadzają w większéj lub mniejszéj ilości, więcéj lub mniéj pochłaniają światła pozostałéj jeszcze pod niemi fotosfery. Obok téj teorji zasługuje jeszcze na uwagę teorja prof. Zöllnera, który uważa plamy słoneczne za żużle powstałe w skutek ostygnięcia słońca, — jak również i teorja Faye'a, według którego plamy słoneczne są to otwory w żarzącéj się płynnéj powłoce słońca, przez które widzimy wnętrze słońca, mające jeszcze być w stanie gazowym.

Obok plam słonecznych prawie zawsze w bezpośredniém ich sąsiedztwie znajdują się miejsca tarczy słonecznéj, które pochodniami zowią. Pochodnie te przy bezpośredniém badaniu przez lunetę bardzo rzadko i wyjątkowo tylko ukazują się jako wzniesienia i wyskoki wychodzące z warstwy fotosferycznéj. Obserwacje spektroskopowe uczą, że po największéj części są to masy wybuchowe, składające się z żarzącéj się materji chromosfery i fotosfery. Wymiary pochodni są często

niezmiernie wielkie. Secchi widział pochodnie, które w kształcie ogromnych fal świetlnych zajmowały połowę tarczy słonecznéj. Zupełnie tak samo, jak plamy tak i pochodnie, szczególniéj licznie ukazują się w niektórych pasach powierzchni słońca, lecz strefy ukazywania się pochodni są większe od stref ukazywania się plam. Secchi zwraca szczególną uwagę na to, że główne zjawiska, spostrzegane na powierzchni słońca, polegają na podnoszeniu lub wyrzucaniu mas, z których protuberancje się składają. Obwody wichrzonych w skutek tego okolic słońca są daleko większe aniżeli obwody ciemnych okolic słońca, które niesłusznie dotychczas głównie zajmowały uwagę obserwatorów.

Zachodzi teraz pytanie, w jakim stanie skupienia znajduje się wnętrze słońca. Dokładne rozstrzygnięcie téj trudnéj kwestji jest niezmiernie ważném, od niego bowiem zależy wytłomaczenie wszelkich zjawisk, które na powierzchni słońca spostrzegamy. Bezpośrednie obserwacje kwestji téj nie rozwiążą, gdyż i potężna analiza spektralna nie zdoła przeniknąć do głębi słońca; jedna tylko droga rozumowań może doprowadzić do niektórych wniosków co do stanu materji we wnętrzu słońca. W skutek wysokiéj jego temperatury każda materja musi przejść w stan gazowy; lecz znów z drugiéj strony ze wzrostem głębokości wzrasta téż niezmiernie i ciśnienie warstw górnych. Ciśnienie to, począwszy od pewnéj głębokości, jest dość wielkiém, by przeciwdziałać rozszerzającemu się działaniu ciepła i przyprowadzić tym sposobem materją w stan płynny, lub téż, jak Secchi utrzymuje, w stan pośredni między płynnym a gazowym. W tym stanie, powiada astronom rzymski, w którym najmniejsze zmiany w ciśnieniu lub w temperaturze wywołują największe zmiany równowagi, wodór wystawiony jest na największe zmiany objętości i ciśnienia, bardzo więc być może, że w tém bezustanném wahaniu się równowagi szukać należy przyczyny występujących z chromosfery protuberancji.

Słońce bezustannie wysyła ciepło promieniste w dalekie przestwory niebios. Obserwacje bezpośrednie wykazały, że ilość ciepła słonecznego, padającego na ziemię w ciągu roku, wyrównywa pracy mechanicznéj 228,000 miljonów machin parowych, po 1000 koni parowych każda. Ta ogromna ilość ciepła stanowi tylko jednę 2,300 miljonową część całéj ilości ciepła, jaką słońce wysyła w przestrzenie niebios. Otóż zachodzi pytanie, gdzie szukać należy źródła téj niezmiernéj ilości ciepła? czém się podtrzymywało i podtrzymuje to niezmierne ognisko ciepła w ciągu miljonów lat swego istnienia?

Sir William Thomson rachunkiem wykazał, że gdyby słońce składało się z najlepszego węgla angielskiego, zaledwieby mogło się palić przez 8,000 lat, a po upływie tego czasu zgasłoby. Tymczasem, pomimo téj ogromnéj ilości ciepła, jaką słońce od miljonów lat wysyła, nie udało się dotychczas spostrzedz żadnego zmniejszenia się jego czynności.

Jeżeli zatém ciepło słoneczne nie zostaje wytwarzaną przez zwyczajny proces palenia się, to pozostają się jeszcze dwie możliwe przyczyny: albo źródła, zasilającego i wyrównywającego straty ciepła, poniesione przez słońce, szukać należy w samém słońcu lub téż zewnątrz niego. Robert Mayer, genjalny twórca teorji mechanicznéj ciepła, skłania się ku ostatniéj przyczynie. Według niego ciepło słoneczne pochodzi z ogromnéj ilości meteorytów spadających bezustannie na słońce, które przy spadaniu zamieniają swoją siłę żywą w ciepło. Teorja ta wprawdzie nie wytrzymuje krytyki, gdyż przyrost masy, jakiegoby słońce przez to doznawało, musiałby się koniecznie objawiać w innych astronomicznych zjawiskach, co wszakże dotychczas nie miało miejsca; jednakże ma ona o tyle rzeczywistą podstawę, że szuka przyczyny ciepła w ciążeniu powszechném (grawitacji). Opierając się na téj hypotezie Mayera, Helmholtz postawił inną hypotezę, według któréj przyczyny bezustannie odnawiającego się ciepła słonecznego szukać należy w bezustanném zapadaniu masy słonecznéj ku środkowi czyli, innemi słowy, w kurczeniu się kuli słonecznéj.

Teorja tworzenia się naszego układu słonecznego, podana przez Laplace'a, w jak najzgodniejszy sposób łączy początek żaru słonecznego z jego utrzymywaniem się do téj chwili. Dostateczném będzie przypomnieć czytelnikowi, że według Laplace'a słońce stanowiło niegdyś środkowe jądro ogromnéj mgławicy, wirującéj z zachodu na wschód. Ta mgławica, czyli ta masa gazowa, znajdowała się w najwyższym stanie żaru. W skutek promieniowania masa ta stygła, skutkiem czego na jéj powierzchni nastąpiły zgęszczenia gazów; w skutek zaś obrotu masy około osi w połączeniu z jéj kurczeniem się pod jéj równikiem odrywały się pierścienie, które początkowo wirowały około ciała głównego, w następstwie zaś czasu, w skutek niejednakowéj prędkości ich części wewnętrznych i zewnętrznych, pierścienie rozrywały się, dając początek nowym ciałom, oddzielonym od kuli centralnéj.

W ten sposób z mgławicy pierwotnéj powstało słońce, otaczające je planety i okrążające te ostatnie — księżyce. Według Helmholtza żarząca się kula słoneczna jeszcze dziś ulega temu samemu zgęszczaniu, które w ciągu wieków zamieniło masę gazową niezmiernie lekką w masę, któréj gęstość przewyższa już przeszło o $1/2$ gęstość wody. Prostym rachunkiem znakomity uczony niemiecki wykazał, że gdy słońce dosięgnie gęstości ziemi, to ciepło przez to wywiązane wystarczy na skompensowanie utraty ciepła słonecznego przez 17 miljonów lat. Hypoteza kurczenia się słońca nie zostaje w sprzeczności z wypadkami pomiarów jego średnicy, gdyż zmniejszenie się średnicy słońca w skutek jego kurczenia się dałoby się dopiéro spostrzedz po 20,000 latach i to przy pomocy najdelikatniejszych obserwacji. Bardzo słusznie powiada Secchi, że prawo równoważności pracy mechanicznéj z ciepłem doprowadzi nas tym sposobem do prawdziwego źródła ciepła słonecznego, i zarazem do ogólnego źródła wszelkiego życia i każdego ruchu, albo téż objawu działania siły na naszym planecie.

Widzieliśmy już wyżéj, że utrata ciepła, jaką ponosi słońce, pokrywa się w skutek powolnego zgęszczania materji słonecznéj do takiego stopnia, że zmniejszenie się ciepła zauważyć się nie daje. Lecz ta kompensacja nie może trwać bez przerwy, słońce nie może świecić wiecznie, albowiem zgęszczanie się jego materji musi mieć swą granicę. Gdy ustanie ciepło słoneczne ustać téż musi wszelkie życie organiczne na powierzchni ziemi naszéj: jest to tylko kwestja czasu.

Jeżeli z jednéj strony myślący człowiek zatrzymuje szybki polot swego umysłu na myśli, że w skutek nieprzepartéj konieczności wszystkie twory natury organicznéj i najwspanialsze płody ludzkiego ducha, zasnąć muszą w przepaściach nocy i śmierci, to z drugiéj podnosi go myśl, że stany takie muszą być perjodyczne i że po lodowatém tchnieniu zimy powstanie radosne życie wiosny. Światy się tworzą i zapadają w przepaści, słońca zapalają się i gasną, lecz siły, jakie w nich działają — nie nikną i zmartwychpowstają w nowych postaciach, w nowych kształtach.

Wystawa wiedeńska.

Pałac sam, o którym co dopiéro obszerniéj mówiliśmy, jest tylko cząstką wystawy, takowa gubi się bowiem w obszernych pawilonach i przystawkach, które, jak okiem dojrzeć, rozsiane są po całéj ogromnéj przestrzeni Prateru. Do najobszerniejszych pawilonów należą gmachy: maszyn i dzieł sztuki, a przedewszystkiém pierwszy, który rozmiarami swemi wyrównywa niemal samemu pałacowi wystawy. W chwili, gdy to piszemy, huczy, przędzie, tka, szyje, piłuje, hebluje, drukuje w pawilonie tym nie mniéj nie więcéj jak 4,694 najrozmaitszego rodzaju maszyn, z któréj to cyfry przypada najwięcéj na Austrję, bo 1,297 maszyn. Za Austrją idą Niemcy, które wystawiły 1,182 maszyn, daléj Ameryka (539), Anglja (496), Belgja (289), Francja (276), Węgry (198), Szwajcarja (164), Rosja (120), Danja (46), Szwecja i Norwegja (43), Włochy (25), Holandja (19). Południowa Ameryka i Wschód mało albo wcale nie są reprezentowane w téj galerji. — Na pawilon sztuki przyjdzie kolej w następnych artykułach, dziś tylko nadmienimy, że genjusz polski zaszczytne zajmuje tu miejsce a każdy bezstronny przyznać musi, iż na polu sztuki nie mamy powodu obawiać się porażki.

Wszystkie państwa biorące udział w wystawie pobudowały osobne pawilony, mające dać nam wierny obraz bądźto domowych ich gospodarstw, bądźto życia domowego, bądź mieszczące okazy, jakie niezdołano pomieścić w głównym pałacu. — Nie brak również pawilonów pobudowanych przez osoby prywatne, różne stowarzyszenia, firmy kupieckie, z których każdy stara się zachwycić widza okazałą wystawą, stylem gustownym a nieraz przepychem.

Dzięki tym pawilonom, pawilonikom, przystawkom wystawa wiedeńska miasto przedstawić obraz harmonijnéj całości, rozstrzela uwagę widza i daleką jest od tego, aby odpowiedzieć jak przynależy swemu zadaniu. Zdaniem naszém myśl zasadnicza wystaw międzynarodowych w ogóle, mocno została podkopaną bieżącą wystawą wiedeńską; zamiast rozszerzać je w przyszłości, potrzeba będzie je uprościć i zredukować i sprowadzić do tego punktu, z którego wystawa wyda nam się tém, czém być powinna: zbiorowiskiem wyrobów najprzedniejszych całego świata, a nie kramem, w którym spekulacja i chęć zysku główną odgrywa rolę. Świece stearynowe, zapałki, fajki tureckie, zegarki najzwyczajniejszego wyrobu i t. d. nie mogą rościć sobie prawa do miejsca na wystawie ogólnéj, a przecież na wystawie wiedeńskiéj znajdziesz całe stosy towarów, nie lepszych ani gorszych od tych, jakie znaleźć można w zwyczajnym kramie mało-miasteczkowym. Wystawa nie może i nie powinna zniżać się do roli bazaru, lecz musi, jeśli rzeczywiście ma na oku rozbudzenie dobrego smaku, postęp, jedném słowem cele wznioślejsze, starać się o to, aby dała nam naukowo i estetycznie uporządkowany obraz ogólnego stanu cywilizacyjnego i przemysłu pojedynczych narodów. Jedynie w tym wypadku będziem mogli wynieść z wystaw głębsze, szlachetniejsze, pouczające wrażenie. W Wiedniu Wschód jedynie odpowiedział, jeśli nie całkiém to choć w części, temu zadaniu. W galerjach poświęconych Rosji, Turcji, Egiptowi, Chinom, Japonji spotykasz się z należycie zamarkowanemi charakterami ludowemi, a wytwory owych narodów dadzą ci pojęcie o ich indywidualności i ich polityce. — W galerjach zachodnich widzisz przemysłowców a nie narody. Wyjątek niejaki w téj mierze stanowią Włochy z swemi towarami z marmuru, drzewa i przemysłem koralowym.

Co bądź jednakże wystawa wiedeńska imponujące czyni wrażenie, a kto chce, może ztąd wynieść wiele bardzo korzyści; w każdym razie nierozsądnie czynią ci, co powodując się uprzedzeniami, odmawiają obecnéj wystawie wszelkich stron dodatnich i odradzają jéj zwiedzenie. Obecnie uprzedzenia te powoli zacierać się poczynają, a napływ cudzoziemców, jeśli nie dorównał dotąd napływowi widzianemu w Paryżu r. 1867, poczyna przecież coraz więcéj wzrastać i dochodzi wcale imponującéj cyfry.

Słów kilka jeszcze o kosztach wystawy wiedeńskiéj. Takowe daleko są większe niżli wszystkich innych dawniejszych, gdy bowiem ostatnia londyńska z r. 1862 kosztowała około 12 miljonów franków, a paryzka roku 1867 trzydzieści miljonów fr., wystawa wiedeńska pochłonęła 20 miljonów guldenów. Czy koszta się wrócą — to pytanie, na które zapewne sam dyrektor wystawy baron Schwarz, nie umiałby zbyt optymistycznéj dać odpowiedzi. W budżecie spodziewanych dochodów, mających pokryć powyższy rozchód, znajdujemy tylko 16,240,000 guldenów, a przecież i ta cyfra jest nader problematyczna już dla tego samego, że w rubryce dochodów za bilety wstępu przyjęto 11 miljonów guldenów, a aby uzyskać tak olbrzymią cyfrę, potrzeba aby zwiedzało wystawę przez cały czas jéj trwania codziennie 70,000 osób, gdy tymczasem, jak dotąd, zaledwie kilka dni było tak pomyślnych, w których napływ zwiedzających wystawę odpowiedział nadziejom jeneralnéj dyrekcji.

Kończąc niniejszy rozdział powiedzieć nam choć pokrótce należy o udziale Polaków na wystawie wiedeńskiéj.

Polska rozszarpana rozstrzeliła swe wyroby, dzieła swego przemysłu, po galerjach swych zaborców. System, jaki w obec Polaków przyjęli ich zaborcy, nie dozwolił abyśmy pod własnemi na wystawie wystąpili firmami, i tém sami udowodnili, że pozbawieni niezawisłości politycznéj, posiadamy odrębność na polu ekonomiczném. Dla tego ci, co chcą śledzić za wytworami przemysłu polskiego, niech zwiedzą galerje austrjackie, pruskie a przedewszystkiém rosyjskie a znajdą tam czego szukają. Czémżeby była wystawa rosyjska bez udziału Polaków? Co krok spotkać się tu można z wyrobami warszawskich przemysłowców, z dziełami polskich artystów, z wytworami kunsztu i pracy narodu, któremu Rosja nieubłaganą wypowiedziała wojnę. Gdy dział przemysłu najluźniéj reprezentują przemysłowcy z pod zaboru rosyjskiego, w rolném gospodarstwie przynależy się pierwszeństwo ziemiom ujarzmionym przez Prusy, a dział sztuk pięknych wzniósł się najwyżéj w prowincji pod panowaniem austrjackiém.

Rzucając tych kilka pobieżnych uwag o udziale Polski na wystawie wiedeńskiéj i zastrzegając sobie na późniéj obszerniejsze w téj mierze uwagi i spostrzeżenia, kończymy dział ogólny, aby w następnych numerach przystąpić do wywodów szczegółowych.

K. Z.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Z portretów familijnych. — Szkice humorystyczno-obyczajowe. — Poznań. 1873.

Gdy na początku zeszłego roku wyszła w Krakowie niepospolita w swoim rodzaju książka „Plotki i prawdy“ *), wielki powstał popłoch w całéj Galicji i wielkie oburzenie pośród mnóstwa ludzi znajdujących między wprowadzonemi typami własne podobizny. A to ich urządził, mówiliśmy między sobą w Poznaniu; dobrze zrobił, dodawano, czas już przecież postarać się o ośmieszenie i wykorzenienie fatalnych nałogów i usterek, przynoszących szkodę sprawie publicznéj, mącących społeczne nasze życie.

Tak mówiliśmy, zwracając oczy na Galicję, nie przypuszczając ani na chwilę, że pośród nas grasują nie mniejsze nałogi, że i u nas znaleźć się może nieproszony, niemniéj jednak pożądany djagnostyk.

Znalazł się poczciwiec Figaro i w feletonie Nr. 95 „Dziennika Poznańskiego“ zabrał się con amore do golenia naszéj brody. Nie zdołaliśmy jeszcze zastanowić się dokładnie nad tą pierwszą próbą, gdy krzyki operowanych pacjentów i osobna przeciw jednemu feletonowi wydana broszura, przekonały nas, że próba udała się w zupełności. Téjże saméj myśli był widocznie sam Figaro, skoro nie czekając ani chwili, wystawił na widok publiczny ośm gładko wygolonych i ufryzowanych portretów familijnych.

Przejdźmy się po téj ciekawéj galerji.

Na pierwszy rzut oka przekonywamy się, że wystawa nie posiada ani jednego obrazu staréj szkoły, ani jednego portretu naszych antenatów. Wszystko zupełnie nowe i zdjęte z naszych dobrych znajomych, — może z nas samych. Kto to wié? Rysy podobne i do mego sąsiada i do mego przyjaciela i do pana prezesa i do pana delegata i do wielu innych a nawet do mnie samego a przecież nie jest to specjalnie żaden z nich, ale przecież ktoś dobrze znajomy a może kilku dobrze znajomych, odmalowanych w jednéj osobie.

Na samym brzegu, oznaczony cyfrą I, wisi na haku p. Kalasanty Ganaszyc, znany powszechnie jako człowiek „z poświęceniem.“ Z poważnego, wielkością posłannictwa namaszczonego jego profilu poznasz, czytelniku, od razu męża, co długie lata walczył z niepewnością i długie godziny wylegiwał na kanapie z myślą u boku, jak najlepiéj i najskuteczniéj przystoi służyć ojczyznie. „Poświęcić się“, powiedział p. Ganaszyc — ale jak? Przez wzbogacenie się, odpowiedział mu iście patrjotyczny instynkt. Skoro będę bogaty, to i kraj będzie się miał lepiéj — pracujmy.

Z leniwca stał się nasz bohater czynnym; z niedbalca, zapobiegliwym. Po latach rozszerzyły się poważnie posiadłości Ganaszyca i zaokrągliły kapitały. Pracy pobłogosławił Bóg i p. Ganaszyc mógł już teraz z zebranych „poświęcaniem się“ środków „poświęcić“ grosz wdowi na potrzeby kraju, na ratunek bliźnich.

Kolektorowie składek na oświatę, na ochronki i na rozmaite tym podobne cele ogólnego dobra — sąsiedzi, których wywłaszczają Niemcy, pukają od czasu do czasu do jego serca i żelaznéj szafy. Pan Ganaszyc odpowiada zawsze: Nie godzi się być samolubem, trzeba się zawsze poświęcać dla kraju — dla ojczyzny i dla was drodzy sąsiedzi gotów jestem przelać krew moją i oddać życie, ale pieniędzy dać mi nie wolno — nie dam ani grosza, bo każdén grosz zamknięty w téj oto szafie, nie jest moją lecz kraju własnością...

Na zebraniach, naradach i sejmikach p. Ganaszyc błyszczy nieobecnością. Czas jego tak samo jak pieniądz należy do kraju — czas i pieniądz poświęca on poświęceniu.

Pan Ganaszyc wyższy jest nad złośliwość ludzką przycinki znosi stoicznie, jak na człowieka z poświęceniem przystało, poznawszy się w portrecie uśmiechnie się tylko z politowaniem, obronę zostawiając jakiemu pismakowi, „poświęcającemu się“ obronie jego „poświęceń.“

Obok „człowieka poświęceń“ wisi wizerunek „człowieka czynu“, p. Sebastjana Cybulińskiego. W szkołach, opowiada cicerone, stawał do apelu, gdy wołano asine, młodzieńcze lata przepędził w Dreznie i Paryżu, zkąd wrócił zaszargany pod każdym względem do ojczystéj wioski. Wiejskie nudy pchnęły go do brania udziału we wszystkich stowarzyszeniach a hałas, jaki tam sprawiał, zjednał mu renomę męża energji i czynu. Został posłem, a milczenie w radzie wynagradzał sobie wrzaskliwém zdawaniem sprawy ze swych czynności przed wyborcami. Powodzenie, jakiego tu doznawał, wyrodziło w nim ambicję a ta spokrewniła go z Herostratem. Dla rozgłosu postanowił p. Cybuliński rozbić solidarność Koła polskiego w Berlinie.

W podobny sposób wymalowane są podobizny: hrabiny Klein-Bismarck, nawrócenie pana Serafina Zagórskiego, syna wielkiego ojca, p. Ignacego wykładającego swoje teorje, młodzieńca „pełnego nadziei“, z których dwie pierwsze mianowicie są w swoim rodzaju znakomite.

Na zakończenie dał autor „Monografję polskiéj wioski“, dziwnie prawdziwą a bardziéj jeszcze bolesną. Stary bocian opowiada dzieje Wielkich Pohybel, których posiadaczem za młodych jego czasów był Jan Kanty Safandulski, herbu Nieład. Godłem jego, którém się stósownie do okoliczności zastawiał, były trzy następujące formułki: „trudna rada“, — „pal go licho“ — i „jakoś to będzie.“ Usprawiedliwiając swoje i swego herbu nazwisko, na każdym kroku zaprowadził nasz p. Jan Kanty ten system zarządu, który zwykł w krótkim czasie wyprowadzać dziedzica z majątku. Właścicielem Pohybel został po nim jakiś członek „końsko-psiego“ stowarzyszenia i po krótkim czasie został z dziedzictwa wyszczuty. Następca jego p. Trybuński politykował na wielką skalę tak długo, aż ekonom jego Bronowłocki nabył na własność wystawioną na sprzedaż majętność. Ład i sprężysta administracja zostały zaprowadzone, lecz nie na długo. Bronowłocki pragnął zostać miljonerem przez giełdę, na któréj kark skręcił... Pohyble nazywają się dziś Annectirfelde a właścicielem ich jest p. Quackmann.

Smutne to ale prawdziwe obrazy i portrety. Nie wątpimy ani na chwilę, że wywołają straszną burzę w organach stowarzyszenia „wzajemnéj admiracji.“ Autora posądzą o nihilizm, o warcholstwo, o siejbę waśni pośród skołatanego nieszczęściami społeczeństwa. My z naszéj strony w „Portretach familijnych“ zupełnie co innego widzimy: miłość publicznego dobra, znajomość stosunków, pragnienie rychłéj poprawy chorobliwego stanu naszego społeczeństwa, które tak bardzo przywykło do pochlebstw, że prawda wydaje mu się oszczerstwem.

Każde społeczeństwo, każdén stan ma swoje błędy i śmieszności, wytykać je jest obywatelskim obowiązkiem, inaczéj bowiem przemienią się w narów, w pewien rodzaj obłędu. Autor „Portretów“ wytykał je z miłością bez szykany i żółci i to jest jego zasługą. Przeciwnikom swoim może on powiedzieć ze spokojem człowieka dobréj woli: Panowie, wasze krzyki świadczą o trafności moich portretów, przyznajcie, że patrząc na orygināły, difficile est satiram non scribere.

*) Rozbiór téj książki podaliśmy w Nr. 10 „Tygodnika“ z zeszłego roku.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

— Za zgodą naczelnego redaktora naszego pisma i w imieniu całéj Redakcji wystosował Dr. **Kazimierz Szulc** następujące pismo:

Do Szanownego Komitetu Wykonawczego uroczystości stuletniéj rocznicy urodzin J. Jungmanna, na ręce Jéj Prezesa WPana Dr. Riegera w Pradze.

W tych dniach odebrałem za pośrednictwem tutejszéj księgarni pana Żupańskiego zaproszenie WPanów z dnia 20 czerwca b. r. na uroczystość, mającą się odbyć w Pradze dnia 12 i 13 b. m. na cześć Józefa Jungmanna.

Niezmiernie żałuję, że stosunki mi nie pozwalają, mimo najszczerszéj chęci zadosyć uczynić tak zaszczytnemu dla mnie wezwaniu, ażeby osobistą moją bytnością w miejscu uroczystości uczcić zasługi znakomitego ziomka WPanów, zasługi około języka, literatury, oświaty i odrodzenia Czech, około zbadania i porównania wszystkich języków sławiańskich a nawet około wzajemności Sławian.

Żałuję tém bardziéj, że pośród WPanów stanąć nie mogę, ponieważ od dawna jestem tego przekonania, że ludy sławiańskie powinny korzystać z każdéj sposobności, ażeby jak najczęściéj ze sobą stykać się i zjeżdżać w celu porozumiewania się względem spraw wspólnych.

Niemniéj bowiem dawno i mocno jestem przeświadczony, że żaden z ludów sławiańskich, w odosobnieniu od innych, celu ostatecznych swych pragnień, dążności i przeznaczeń nie jest w stanie osiągnąć; przy wzajemném zaś ich wszystkich porozumieniu i solidarném postępowaniu odzyskają niebawem wszystkie swe prawa, mianowicie jeżeli troskliwie będą szanowali uczucia i prawa obcych, pomiędzy nimi osiadłych ludów.

Ostatnie, pełne godności narodowéj i stanowczości wystąpienie sędziwego p. Palackiego w obec pansławiańskich a raczéj panrosyjskich zachcianek, oświadczające, że jeżeli Czesi nie mogliby pozostać Czechami ze wszystkiemi właściwościami swéj narodowości, to wszystko im jedno, czy zostaną Rosjanami, Turkami czy Niemcami, — ułatwiło zbliżenie się Polaków do narodu czeskiego i może się przyczynić do tego, że Rosjanie prędzéj się zdecydują wyrządzić sprawiedliwość Polakom, co jest niezbędnym warunkiem i byłoby ogólném hasłem do porozumienia, pojednania i współdziałania wszystkich Sławian.

Niech więc Panów nie zraża od szczerych z nami stosunków ta okoliczność, że na pierwsze wezwanie nasz udział w Waszéj uroczystości będzie może mniéj liczny, niżeście słusznie tego oczekiwali a my serdecznie sobie życzyli. Będzie on się z czasem niewątpliwie coraz bardziéj wzmagał, jeżeli wzajemne nadal i przyjazne pomiędzy sobą stosunki wytrwale i starannie będziemy pielęgnowali.

W oczekiwaniu tego pozwólcie, Panowie, żebym na zakończenie tego listu zawołał z głębi serca:

Cześć Jungmannowi! Czechom cześć!

Niech żyje wzajemność i solidarność Sławian!

Poznań 8 lipca 1873.

Dr. **Kazimierz Szulc**
w imieniu całéj Redakcji „Tyg. Wielk."

* * *

†

Leon Wegner

dnia 9 lipca.

Od 7go Lipca 1869 roku wychodzi w **Krakowie**

Djabeł

czasopismo illustrowane satyryczne.

Prenumerata kwartalna w Wielk. Ks. Poznańskiém wraz z przesyłką wprost z Redakcji sgr. 22.

Prenumerować można także we wszystkich urzędach pocztowych pruskich i niemieckich po sgr. 22½ kwartalnie. (15)

Tom drugi

Nauki położnictwa dla użytku położnych

ułożonéj przez

Dr. **Henryka Jordana**

asyst. kliniki położn. uniw. jagiel. objaśnionéj wielu drzeworytami opuścił prasę.

Cena obu tomów 4 złr. w. a. czyli 2 tal. 20 sgr.

Do nabycia w Admin. „Przeglądu Lekarskiego" w Krakowie pod L. 207, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach. (123)

Za pośrednictwem Administracji **Tygodnika Wielkopolskiego** nabyć można za 3 sgr.

„Obchód Malborski",

poemat Krzyżacki.

Epileptyczne kurcze

(wielką chorobę)

leczy **listownie** lekarz specjalny dla epilepsji **Dr. O. Killisch,** Berlin, Louisenstrasse 46.

W téj chwili ma przeszło tysiąc pacjentów. (92)

Piwowarnia Dominialna Czarnkowska

poleca wyborne

Piwo Czeskie,

wyrabiane przez jednego z najlepszych piwowarów Czeskich, który będąc kilkanaście lat dyrygentem najsławniejszych Wiedeńskich i Czeskich piwowarni, obeznany jest najdokładniéj z tamtejszym sposobem warzenia piwa. Piwo Czarnkowskie nie ustępuje w niczém piwom wyrabianym w Czechach, jest smaczne, czyste i zdrowe, z najlepszego jęczmienia i chmielu robione, bez wszelkich dodatków, które, jak liczne dowody stwierdzają, nadzwyczaj są dla zdrowia szkodliwe.

Zamówienia przyjmuje niżéj podpisany Zarząd.

Cena beczki w miejscu tal. 7, — 30 butelek tamże tal. 1.

Beczki, pudła z butelkami jako też i butelki opatrzone są stemplem piwowarni, na co się uwagę Szan. Publiczności zwraca.

Czarnków w lutym 1873. (95)

Zarząd Piwowarni Dominialnéj w Czarnkowie.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.